

Przechadzka po polskich Beskidach

W piątek 19.10.2007 o godzinie 17.20 była zbiórka przy granicy do polskiego Cieszyna. Wszyscy zgłoszeni przybyli, a więc Bebi, Monika, Maryś moja Maryś, Fifcz, Krzysztof, Władek i ja. Wszyscy mieli dobrze spakowany plecak, z wyjątkiem Marysia, który w domu zapomniał karimatę. Pierwotny program był zupełnie inny. Mieliśmy spać pod namiotami, najwyższy szczyt wycieczki góra Smrk i to najważniejsze, że powrót miał być w niedzielę popołudniu. Lecz w trakcie tygodnia obleciała nas wiadomość, że z powodu nieprzyjanych prognoz pogody wycieczka odbędzie się gdzie indziej, przyjazd w sobotę wieczorem, a nocleg będzie w chatce, czyli namioty, palniki i różne takie potrzebne rzeczy zostawić w domu. Tylko jeden punkt programu został niezmienny-cel naszej wycieczki. Była to dobra herbatka w herbaciarni.

Po przejściu przez granicę, skierowaliśmy się na przystanek autobusowy. Na przystanku czekało niewiele ludzi. Po opowiadaniu Bebi i Władka o polskich autobusach, zdziwiło nas, że nasz autobus miał tylko dziesięć minut spóźnienia, jechał całkiem prosto i żadna z opon niebyła pusta. Szczęśliwie dojechaliśmy na przystanek Kubalónka. Tam czekała na niektórych niespodzianka w postaci śniegu. Władek i Krzysztof nasadzili nawleki, ale nasze spodnie z każdym krokiem nabierały więcej wody. Stąd piechotą kontynuowaliśmy czerwonym szlakiem. Najpierw droga była asfaltowa, później bagno. Niektórzy wyciągli „czelówkę“, dlatego że było już ciemno. Minęliśmy Stecówkę i po dwóch godzinach marszu skręciliśmy ostro w dół ,poczym dotarliśmy na chatę studentską na Pietraszónce. Było to około godziny 9.00.

Zaprowadzono nas do pokoju, w którym nie było niczego ,prócz czterech piętrowych łóżek(czyli osiem miejsc do spania) i olejowego pieca(jak stwierdził rankiem Krzysztof). W chatce była również malutka kuchenka, coś w rodzaju jadalni, ale wychodek (jeżeli to można tak nazwać) znajdował się pięćdziesiąt metrów od chatki. Zjedliśmy swaczynokolację, napili herbaty i poszliśmy spać. Przed spaniem Władek powiedział, że każdy nowy członek drużyny na pierwszej akcji musi opowiadać byjeczkę na dobranoc. Jako jedyny nowy członek drużyny była Monika, czyli chcąc nie chcąc musiała opowiadać. Była to bajka o krokodylu, księżniczce wegetarjance i księciu. Nikt nie wie kiedy się skończyła, to drugiego dnia rankiem Monika wytłumaczała.

Drugiego dnia rano około godziny ósmej byliśmy gotowi do wyjścia tzn. po śniadaniu, spakowani i umyjni. Nałączyliśmy się na czerwony szlak i za niecałego półtora godziny byliśmy przy schronisku Przysłop pod Baranią górą. Mała przerwa na dopełnienie energii i już nasza ekipa kontynuowała w śniegu po kostki wyjście na Baranią górę. Ścieżka prowadziła lasem, koło niej jeszcze były zmarzłe jagody, które po ogrzaniu smakowały bardzo dobrze.



Podobnie wyglądała większość ścieżek.

Wreszcie dotarliśmy na Baranią górę. Tablica informacyjna i wieża widokowa w rekonstrukcji - to było wszystko co tam znaleźliśmy, a więc długo nie zostaliśmy tam , tylko jedno zdjęcie i w drogę. Dalej kontynuowaliśmy po grzebieniu przez Przełęcz Salmopolską i Biały Krzyż. Potem zmieniliśmy czerwony szlak za czarny i bagnistą drogą po dwóch godzinach zeszliśmy do Brennej. Stąd nam jechał o 15.30 autobus do Cieszyna.



Wieża widokowa na Baraniej Górze



Schronisko Przysłóp pod Baranią Górą

W Cieszynie szliśmy do herbaciarni(niestety już bez Bebi i Maryś mojej Maryś) i opowiadaliśmy o „przechadzce“. Było bardzo fajnie, byleby więcej.

Piotr Mendrek